NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 3 Katowice, dnia 15-go stycznia 1928

Niedziela druga po Trzech Królach.

LEKCJA

Rzym. XII. 6—16.

Bracia! Mając dary wedle łaski, która nam jest dana różne, bądź proroctwo wedle przystosowania wiary, bądź posługiwanie w usługowaniu, bądź kto uczy w nauce, kto napomina w napominaniu, kto użycza w prostości, kto przełożony jest w pieczołowaniu, kto czyni miłosierdzie z wesołością. Miłość bez obłudności. Brzydząc się złem, przystawając ku dobremu. Miłością braterstwa jedni drugich miłując; uczciwością jeden drugiego uprzedzając: W pilności nie leniwi, duchem pałający, Panu służący, nadzieją się weselący, w utrapieniu cierpliwi, w modlitwie ustawiczni, potrzebom świętych udzielający, w gościnności się kochający. Błogosławcie prześladującym was, błogosławcie a nie przeklinajcie: weselcie się z weselującymi, płaczcie z płaczącymi. Toż jeden o drugim rozumiejąc: wysoko nie rozumiejąc, ale się z pokornymi zgadzając.

EWANGELJA

zapisaną u św. Jana w rozdziale II, od w. 1—11.

W on czas: Odbywały się w Kanie galilejskiej gody weselne, i była tam Matka Jezusowa. Zaproszono też na gody i Jezusa wraz z uczniami Jego. A gdy zabrakło wina, Matka Jezusowa rzecze do Niego: Wina nie mają. Jezus zaś odpowiada Jej: Mnie to zostaw, Niewiasto; nie nadeszłaż jeszcze godzina Moja? Mówi tedy Matka Jego do sługi: Zróbcie, cokolwiek wam poleci. A stało tam sześć stągwi kamiennych dla obrzędowych obmywań żydowskich; każda z nich zawierała po dwa lub trzy wiadra. Jezus mówi do nich: Napełnijcie stągwie wodą. — I napełnili je aż po brzegi. Jezus tedy rzecze im: Zaczerpnijcie teraz, i zanieście gospodarzowi wesela. I zanieśli. A kiedy gospodarz wesela skosztował wody, przemienionej w wino, — a nie wiedział, skądby się wzięło, wiedzieli zaś słudzy, co wodę czerpali, — odzywa się do pana młodego gospodarz wesela i mówi doń: Każdy człowiek najpierw stawia dobre wino, a gorsze dopiero, gdy sobie podpiją; ty zaś dobre wino zachowałeś na sam koniec! Taki to początek cudów uczynił Jezus w Kanie galilejskiej i objawił chwałę Swoją, — i uwierzyli weń uczniowie Jego.

NAUKA.

Jak każdy stan, tak i małżeństwo ma swoje obowiązki, swoje trudności i przykrości, które małżonkowie wypełniać, cierpieć i ponosić powinni.

Pobraliście się mężowie i żony, ażeby, jedno drugie wiecznie i docześnie uszczęśliwić; dziatki, które wam Opatrzność udzieli, po chrześcijańsku wychować; nierozerwanie z sobą żyć, aż które z was Wszechmocny na sąd swój powoła. — Cóż tu potrzeba mężowie i żony między wami, ażebyście ten wielki zamiar Boga uskutecznili? Jakże to małżonkowie uskutecznicie?

Miłość wzajemna, miłość serdeczna, ta powinna władać waszemi myślami, mowami i czynami; gdzie tej nie ma, tam upadek domu, kłótnie przekleństwa, nienawiści, — żona niemiła, dzieci zuchwałe, dom obmierzłością, wszystko przykrością i ciężarem. Gdzie miłość w domach małżeńskich osiadła, tam czy choroba lub zdrowie, obfitość lub nędza, młodość lub starość, nie opuszcza jedno drugie, ale cieszy, ratuje, dopomaga, w pracach i życzeniach uprzedza, życieby jedno za drugie dało. — Mąż kocha żonę, jak własne ciało, jak siebie samego, jak to nauczał Paweł św. pisząc do Efezów: „Tam mąż i żona stanowi jedno ciało, jedną osobę". — Mąż nie ےe lepszego, z czemby się nie podzielił z żoną, nie ścierpi, ażeby żona głód i nędzę z dziećmi doznała, lub po obcych kątach się poniewierała, a on rozkoszował, stroił się, lub majątek trwonił. — Gdzie miłość w małżeństwach panuje, tam żony poddane mężom, jak naucza Paweł św. i to tak poddane, jak jest poddany Kościół Chrystusowi. Kościół nie sprzeciwia się Chrystusowi, ale go szanuje, jest Mu posłuszny; i żona dobra szanuje męża, nie przemawia uszczypliwie, niema w jej sercu nienawiści, zuchwalstwa, próżności. Mąż nie uważa jej za służebnicę, nie robi przykrości, nie obchodzi się z nią dumnie i surowo, ale uważa ją jako żonę, szanuje i miłuje wzajemnie.

Miłość ta zrodzi poszanowanie wzajemne, a z poszanowania nastąpi szczerość i otwartość i poświęcenie, choćby nawet życie kosztować miało. Okażą dla siebie taką miłość, jaką okazał Jezus dla Kościoła Swego. Jezus dał życie za Kościół Swój, i mężowie i dobre żony poświęcą sobie życie wzajemnie.

Z poszanowania wzajemnego nastąpi osłoda życia, pociecha w utrapieniach, mowy grzeczne i uprzejme, podział pracy i trosków domowych, stosowne pokrycie wzajemnych ułomności, wad i słabości, ochrona własnej sławy, której ani baśnie, ani plotki zniweczyć nie potrafią. Nie nadużyją ciała swego, zachowają wstrzemięźliwość, ograniczą wolność swoją, by nie tak działali, jak się im podoba, ale jak słuszność i dobro drugiej strony wymaga; poniosą przykrości cierpliwie, będą się kształcić wzajemnie, upominać i do szczęścia wiecznego sposobić. — Miłość, która się zrodzi z poszanowania wzajemnego, będzie wyższa nad miłość cielesną, bydlęcą, bo będzie pochodziła z dobrych przymiotów, z religijności i cnoty.

Miłość prawdziwa zrodzi w małżeństwach wierność nienaruszoną, niezachwianą, nie pomyśli tam nigdy żadne o znieważeniu Sakramentu małżeństwa, o złamaniu przysięgi, o znieważeniu wyrzeczonych obietnic w obliczu Boga i ludzi; bo święta miłość, która w ich sercach mieszka, na to nie dopuści, nie zezwoli. Czy w domu, lub w podróży, nie myśli żona tylko o mężu, a mąż o żonie, tak święcie, tak przykładnie, że i zła myśl ich sercem nie zachwieje.

Wierność tę zachowują w radach, w mowach, w majątku, w niczem się nie oszukują, wszystko ich wspólne, wzajemne; w sobie widzą największy wzór i doskonałość, sobie najbardziej starają się przypodobać; pocieszają się w smutku, w chorobie doradzają, gdyby nawet które upadło, jedno drugie poprawia, jak mówi Paweł św.: „Poświęcon jest mąż niewierny przez żonę wierną, a żona niewierna poświęcona jest przez męża wiernego".

Gdzie taka wierność, tam mąż, nic nie wyda na niepotrzebne stroje, zabawy, nie przepije, nie przegra, bo wie, iż tak powinien żonę pokrywać jak własne ciało, iż tak się nią ma opiekować, jak sobą samym. — Gdzie miłość w małżeństwach prawdziwa, tam małżonkowie w zgodzie żyją, nie ma swarów, ani kłótni, nie ma rozłączeń, ani rozwodów; tam zaufanie wzajemne, dzieci po chrześcijańsku wychowane, w chorobie prawdziwa opieka, w uchybieniach pobłażanie i cierpliwość; bo miłość jest cierpliwa, łaskawa, niezazdrosna, złości nie wyrządza, nie nadyma się, nie myśli nic złego, wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, jak uczy Paweł Św. w listach do Koryntjan.

Gdzie miłość w małżeństwach prawdziwa, tam jedno drugiemu daje dobry przykład, wstrzymuje od występku, prowadzi do cnoty, bo wiedzą, iż Sakrament udziela im łaski Boga, która się sprzeciwia wszelkiemu grzechowi. Bez miłości wzajemnej małżeństwo jest łańcuchem, w którym ogniwa ze samych cierpień, zgryzot, kłótni, nienawiści są złożone. — Któż wie, chrześcijanie, czy z was którego podobny do nieszczęścia łańcuch nie opasał? — Gdzie może żona dla wszystkich grzeczna, a mężowi i najmniejszem słowem uszczypliwie dokucza? — Gdzie mąż wszystko pod siebie podgarnął, a żona jak gdyby ostatnia sługa, ledwo z dziećmi od niego co wyżebrze? — Kto wie, jakie was ciernie i kolce w małżeństwach dotykają, jakie łańcuchy nie ciała, ale dusze wasze krępują? Nie wiem ja o tem, i nie chcę wiedzieć, ale wy sami dla uszczęśliwienia waszego, dla osłodzenia życia, zastanówcie się nad tem, w kim jest przyczyna. Może teraz, coście przysięgli i dotrzymać przyrzekli, nie dotrzymujecie? Możeście co uchowaj Boże, w grzechu śmiertelnym bez spowiedzi Sakrament małżeństwa przyjęli? Jakże teraz od Boga możecie się spodziewać błogosławieństwa? Ale jeżeli się wam w małżeństwach powodzi dobrze, przyznajcież małżonkowie sami, że to pochodzi stąd, iż wiernie wypełniacie, coście sobie w obliczu Boga i ludzi przyrzekli.

Dałem wam chrześcijanie, jak sami widzicie, po duchownemu uwagi moje, oparte na piśmie Św. i wyrokach Kościoła. Chcecie doznawać błogosławieństwa Bożego w małżeństwach waszych, zachowujcie je, nim krok ten ważny rozpoczniecie. Małżonkowie zaś wypełniajcie obowiązki święcie, w miłości, wierności, poszanowaniu, w szczerości, ratowaniach, pocieszenia wzajemnego, wychowania dziatek po chrześcijańsku; boście się na to pobrali, ażebyście się wzajemnie i doczesnie uszczęśliwili. — Gdzie zaś obowiązki wymienione nie zachowywały strony, zapomniawszy na przysięgi i przyrzeczenia, żałujcież za to przed Bogiem, wypełniajcie na przyszłość i odtąd postanówcie, że przykładnem małżeństwem Boga przebłagacie. Amen.

Ostatni sen.

Pod wązką i stromą górą, położoną na pograniczu Alzacji i Lotaryngji, wspinała się zwolna i ciężko mała, zgarbiona staruszka. Kij wypadał z drżącej dłoni, nogi co chwila odmawiały posłuszeństwa, ona jednak szła ciągle, pchana naprzód jakąś wyższą siłą. Tak, musiała ona dojść, choćby u progu celu, miała paść nieżywa, bo tam oczekiwał ją syn ukochany, jedyne jej dziecko, którego nie miała już nigdy później ujrzeć.

Ojczyzna była w niebezpieczeństwie.

Znała ona to straszne, ale zarazem święte słowo, znała je zbyt dobrze, niestety! Wiedziała, że tej sprawie trzeba poświęcić niejedną kroplę krwi, choćby przy tej ofierze pękło to serce człowiecze. Gdyby to tylko o jej krew chodziło poświęciłaby ją z radością, ale tu chodziło o dziecko, o to jej drogie jedyne dziecko, które żyć pragnęło i tak wesoło patrzyło na świat czarnemi oczyma.

I on ten pieszczoch najdroższy, nie czekał rozkazu nawet, ale sam, z dumą i radością, pośpieszył na usługi uciśnionej. W nocy opuścił potajemnie dom, ucałowawszy pomarszczoną twarz, śpiącej matki, — bał się jej łez, zaklęć, oporu, których obowiązek słuchać mu nie pozwalał.

— Nie mogłem postąpić inaczej, ukochana moja, — pisał do niej w dni kilka, — wierzaj mi, że nie mogłem! Uciekałem z rodzinnej zagrody, jak zbrodzień w nocy... zmyliłem drogę, bo w każdym cieniu przydrożnym widziałem Ciebie. Szum drzew, szmer wody, zmieniał się dla mnie w łkanie i płacz, a ja nie czułem się dość silny, by oprzeć się tobie i uciekałem ciągle, nie oparłszy się aż o bramy miasta, skąd te wyrazy kreślę.

A może, Matko najdroższa, — pisał dalej biedny chłopiec i łzy jak groch padały mu na papier, — może ty wtedy we śnie czułaś, co się ze mną działo, może widziałaś me pożegnanie, ucieczkę, śmierć chwalebną na polu bitwy i płakałaś nademną i nad sobą. Może to wiatr niósł mnie na swych skrzydłach, twój płacz i westchnienie, które ja brałem za szmer liści i wody. Ach! by bronić matkę, wszystkich, zadałem cios tej, która mnie wychowała trudem i potem swoim. Pragnę cię widzieć, jedyna, za dzień wyruszamy stąd, nasz pułk jeden z pierwszych, idzie walczyć z Prusakami, może twe błogosławieństwo, twój uścisk ostatni, ochroni mnie i powróci wolnym i zdrowym w rodzinne progi.

Musiała więc go zobaczyć... musiała koniecznie, wiedziała, że nie wróci, wiedziała, że pobłogosławi i uściśnie po raz ostatni głowę drogiego chłopca. Jej życie po kolei odebrało wszystkie radości i nadzieje, przywykła do tego... myślała jednak, że starej, biednej, prawie żebraczce, zachowa ten ostatni promień radości. Ojczyzna była w niebezpieczeństwie I poszedł — z tą chwilą życie się dla niej skończyło. Chciała go tylko raz widzieć, a później umrzeć. Prosiła Boga o tę łaskę gorąco, bo nie czuła w sobie więcej sił do życia.

Czyż mogłaby powrócić do swej chaty, zasiąść samotnie przy bladem, wieczornem ognisku, nie widząc koło siebie Jurka. Nakarmić konia i krówkę, iść pracować w ogródku i polu, czyżby potrafiła, czyby miała serce, wszak to były jego ulubione zajęcia? W tych kątach, w których się urodził, w których go wychowała, potrzebowała więcej niż gdziekolwiek, spojrzeć w jego czarne jak djamenty oczy, pogładzić złociste kędziory i napawać się słodkim, jak muzyka głosem.

Tak, zobaczyć go raz jeszcze, a potem umrzeć, powtarzała zwiędniętemi usty, i pięła się coraz wyżej. — Bylebym tylko dojść mogła, — myślała z trwogą i boleść jej serce uściskała, tak, że chwilami bić przestawało.

A tu droga stawała się coraz cięższa i więcej stroma. Kamienie i głazy, któremi była usiana, — krwawiły jej biedne, bose stopy, a kobieta pięła się wytrwale w górę. Przed nią szła mała mrówka z ciężarem, który przechodził znacznie jej siły, i patrząc na jej bohaterskie usiłowania, nabierała odwagi. — Ona tylko dom chce sobie zbudować i w tym celu dobywa ostatnie wysiłki, a ja bym miała ustać w drodze, gdy mam na jej końcu chłopca mego zobaczyć? — mówiła do siebie z uśmiechem. — Nie, nie

dam się mrówce prześcignąć. Gdyby to tylko droga była cokolwiek lepsza, ... taka coś jednak ciężka i samotna, jak moje życie.

Tak, rzeczywiście porównanie było trafne. Jej życie było też stromą górą, po której się pięła nieszczęsna z brzemieniem nad siły. Tu stopy, tam serce — krwawiła tysiące razy, spotykając na niej ciągłe zawody, smutki i mogiły.

Z zapartym oddechem, okryta kurzem, ze zroszoną od potu twarzą, stanęła w końcu na wierzchołku góry i spojrzała znużonem okiem dokoła. Stała na skraju małego, dębowego lasku, po za którym o milę rozciągało się miasteczko, do którego spieszyła. Ostatnie blaski zachodzącego słońca, które złociło i czerwieniło naprzemian, niebo i ziemię, kładły się do snu poza sąsiedniemi wzgórzami, ustępując miejsca liljowym zmierzchom. Cisza panowała uroczysta, ptaki z rozpiętemi skrzydły, próły powietrze, udając się na spoczynek; zdaleka dochodził głos dzwonu, wzywającego na „Anioł Pański". Z parowów, podobnie wiatrom, podnosiły się w górę białe tumany, senne kwiaty zamykały swe kielichy, a orzeźwiająca rosa padała wokoło.

Siły jej były całkiem wyczerpane; zielona murawa pod rozłożystym dębem zapraszała gościnnie na spoczynek; padła raczej na nią, niż usiadła. Chciała tylko chwilę odpocząć lecz nogi odmówiły posłuszeństwa... Kij wypadł z ręki, a głowa spoczęła na podłużnym kamieniu. Szepcąc cicho pacierze, usnęła i śpiąc ostatnim snem, śniła po raz ostatni.

Istnieje przekonanie ludowe, w które wierzą starzy i młodzi, że człowiek każdy w chwili śmierci — przechodzi myślą całe swe życie, wraca do miejsc opuszczonych dawno i w kilku minutach, które mu jeszcze pozostają, odczuwa jeszcze raz sercem wszystkie swe radości i smutki.

Widać, że jest w tem coś prawdy, bo biedna kobieta, leżąc pod drzewem, przechodzi przez to wszystko we śnie. Twarz jej się wypogadza, młodnieje, zwiędłe usta składają do uśmiechu.

Widzi się małem, wesołem dzieckiem, pasącem białe owieczki rodziców. Jakże życie było wtedy miłe! Cnie biegły wesoło, na zabawach z towarzyszkami, śpiewach i tańcach. W dzień powszedni bywało tam jeszcze trochę zajęcia, piekła kartofle w polu i pilnowała trzody. Ale niedziela. Co to był za dzień kochany! Kłała wtedy taką piękną nową suknię, bucik na obcasach ze srebrnemi klamrami, trzymając za rękę małego braciszka, biegła wesoło do kościoła, śmiejąc się z daremnych usiłowań rodziców, którzy im chcieli nadążyć. To była najpiękniejsza godzina, w dniu, gdy wchodziła do starego kościoła na wzgórzu, pełnego blasku, woni i promieni. Choć nie rozumiała ani wyrazu z kazania księdza proboszcza, choć słowa mszy św. wymawiane były w obcem dla niej języku, nie nudziła się tam wcale. Nie umiała czytać jeszcze, ale drżąca i korna, klęczała, patrząc z zachwytem na twarze Świętych, które się do niej uśmiechały. Była pewną tego ostatniego. Ona ich tak kochała, cóżby dziwnego w tem było, że wynagradzając to uczucie, Święci się do niej uśmiechali, i przyjaźnie na nią patrzyli. A pozatem Aniołki, których taka moc była w kościele, ci znów jej tak żywo przypominali małą siostrzyczkę, która tam spała w domu w czerwonej kołysce. Kto ją tylko podpatrzył i kto odmalował? myślała sobie nieraz, łamiąc główkę.

Nad wszystko jednak drogiemi jej były dwa obrazy, z których jeden przedstawił Chrystusa ukrzyżowanego, drugi Matkę Boską. Matka wytłumaczyła cie kawei dziewczynce, że to dla odkupienia i złagodzenia grzechów ludzkich, Chrystus umierał śmiercią straszną na krzyżu. W jej małej główinie i w niewinnem sercu nie mogła się pomieścić myśl, że mogli żyć tacy ludzie na świecie, którzy mieli serce ukrzyżować Boga, i patrzeć, jak z Jego świętych członków krew ciekła i cierń rozdzierał Jego skronie i czoło. Och! ten Judasz, gdyby go była mogła dostać w ręce. Piąstki drobne zaciskała wtedy, i rozumiała, co to nienawiść. Jak on mógł Boga zaprzedać, który dla niego był zawsze tak dobrym. On chyba nie wiedział, że Jezusa ukrzyżują i że taki wielki miecz będzie za to tkwił w sercu Najświętszej Panny. Patrząc na te dwie twarze, smutne, a przy tem tak — anielsko dobro, dziecko płakało gorzkiemi łzami.

Łkanie jej nieraz stawało się tak głośne, że proboszcz, siwy jak gołąbek staruszek, oglądał się zdziwiony. Jego słodki wzrok uspakajał ją zawsze, spłakana ale cicha wychodziła z kościoła, zapominając powoli w drodze o przyczynach swych łez.

W niedzielę płakać długo nie mogła, to był dzień radości, i uśmiechów. Obiad bywał taki dobry, wtedy raz na tydzień napawała się wonią i smakiem mięsa. I później z całą gromadą ich rówieśników, obdarzona garstką łakoci, biegła do lasu, rwała jagody, orzechy lub dzikie grusze. Gdy pierwsza gwiazda ukazywała się na niebie, dzieci pobożnie się żegnały, stara bowiem jedna kobieta powiedziała im, że gwiazdy są to okienka, przez które matka Boża, patrzy na świat. Gdy więc pierwsza z nich zabłyśnie, trzeba się przeżegnać, bo po za nią jest twarz Jej najświętsza.

Powróciwszy do domu, zjadała kolację i po modlitwie wieczornej usypiała spokojnie, żałując trochę dnia, co upłynął i pięknego odzienia, które gdzieś znikało na dnie matczynej skrzyni.

O! snać piękne były te dni dziecinne, mimo — chwilowych smutków, bo twarz śpiącej uśmiechała się radośnie, młodniała pod wpływem wspomnień i od czasu do czasu okrzyk prawie dziennej radości wyrywał się z jej piersi.

Zwolna dziecko zamienia się w dziewicę, młodą, silną i piękną. Śpiewa ona jeszcze i dziś wesoło, lecz już wi zi, że życie to nie zabawa, ale obowiązek. Odważnie dźwiga jego brzemię, tak jak dźwiga ciężkie nieraz snopy zboża i koniczyny. Pracuje ciężko, ale śpiewa mimo tego, bo młodą jest, silną i zdaje jej się, że nadchodzi słońce szczęścia i nadziei. Zwolna twarz starej kobiety przestaje się — przez sen uśmiechać. Chwilowa młodość znika bezpowrotnie i sieć zmarszczek zajmuje poprzednie miejsce. Widzi się teraz żoną i matką i przestaje śpiewać...

Męża i dzieci kocha nad życie, ale troska o los ich, troska o chleb powszedni, czyni ją nieraz smutną i niespokojną. Gdy mąż siedzi przy niej, a dwa swe dzieciątka trzyma na kolanach, nic jej na pozór nie brakuje, a jednak smutną jest.

Ach! zrozumiała ona jeszcze wtedy lepiej, uczucia Matki Bolesnej, patrzącej na śmierć syna, gdy małą jej córeczkę w trumnę drewnianą kładli i ponieśli na piaszczyste wzgórze, usiane krzyżami. Został — mąż i syn, ale drżała o nich, myśląc, że ich utraci co chwila. I nie myliła się...

Po twarzy śpiącej kobiety gorzkie łzy spływały, a pierś podnosiła się od łkania.

Zapamiętała ona dobrze tę chwilę, gdy mąż jej, poczciwy wieśniak lotaryński, wszedł do chaty ze smutną twarzą i rzekł: Ojczyzna jest w niebezpieczeństwie!

Nie zrozumiała, co przez to chciał powiedzieć. Żyła tak prostem, cichem, zamkniętem w sobie ży-

ciem, że to wielkie słowo nigdy się jej nie obiło o uszy. Dopiero gdy zobaczyła, że mąż, przygotowawszy małe zawiniątko, chce się z nią i dzieckiem żegnać, by iść bronić czegoś, co jej nieznane; wybuchnęła wielkim, rozdzierającym płaczem i czepiając się nóg jego, wołała:

— Zabij nas wprzód, nim pójdziesz, kiedy masz serce nas opuścić. Idziesz bronić czegoś, czego ja nie rozumiem, a nas zostawiasz na pastwę smutku, tęsknoty i nędzy. Co znaczy w obronie jeden człowiek, który przecie jest wszystkiem dla nas dwojga?

— Ojczyzna jest w niebezpieczeństwie!

— Czy nie rozumiesz tego? — pytał ją głosem poważnym i smutnym, naprożno usiłując się uwolnić z jej objęć.

— Więc cóż z tego, czy ci ona jest droższą nad nas dwoje?

— Kobieto! — odrzekł surowo, — nie wiesz co mówisz i proś Boga, by ci bluźnierstwo wybaczył. Jeżeli nie rozumiesz wielkiego wyrazu, które wymawiasz, to ja ci go objaśnię: — Wszystko, coś kiedykolwiek znała, kochała, widziała, to ojczyzna twoja. Drogie ci są miejsca, w których się urodziłaś, te domy, wzgórza, pola, mogiły twych rodziców — dziecka i przyjaciół. Kochasz mnie i dziecko twoje, nieprawdaż? A to wszystko, to twoja Ojczyzna. Powietrze, którem oddychasz, śpiew ptaków, woń kwiatów, zapach łąk, ta nawet śmiejąca się grupa ludzi, co tam rozmawia, to twoja Ojczyzna. Prawa, które cię bronią, wspomnienia twe najmilsze, łzy i uśmiechy, radości i smutku, są także twoją Ojczyzną. Jestem człowiek prosty i pięknie mówić nie umiem, ale czuję żywo i dłoń mam silną. Jeżeli ciebie i dziecko moje broniłbym w czasie niebezpieczeństwa, aż do przelania ostatniej kropli krwi, to czegóżbym nie poświęcił dla tej, której jesteście małą tylko cząstką.

Niemiec, ten odwieczny wróg naszej drogiej, śmiejącej się Francji, pali tam pograniczne wioski, jutro tu być może. Kto prawy syn tej ziemi, winien jej obronę i twe łzy nie wstrzymają mnie.

Zrozumiała wszystko... wiedziała, że go nie wstrzyma... i rozplotła zwolna obejmujące go ręce. On uścisnął ją w milczeniu, przeżegnał głowę śpiącego chłopca i zarzuciwszy broń na plecy, wyszedł... nie wrócił więcej... Naprożno tęskne jej oczy wypatrywały go zewsząd. Widziała mordy, pożogi... widziała po zawartym pokoju, powracające resztki wielkich sił, jego nie zobaczyła już nigdy. Zginął gdzieś daleko... niepochowany, może nawet w świętej ziemi, a nad jego samotną mogiłą chyba kruk zakracze...

I teraz to jej syn jedyny, znów tem samem wielkiem słowem wyrwany został z rodzinnej chaty.

Móg zostać... — nikt go nie wołał, bo był jedynym synem u starej matki... poszedł, jak ojciec. We śnie przypominał się jej każdy szczegół jego dzieciństwa i młodości. Był zawsze takiem dobrem dzieckiem... starość byłaby jej tak cicho upłynęła, piastując może kiedyś wnuki, przeszłaby spokojnie do lepszego życia... A on teraz ma zginąć daleko! ta głowa, którą tak przywykła pieścić, polegnie od niemieckiej kuli... a ten, co był źrenicą jej oczów, stanie się pastwą śmierci.

Serce biednej kobiety bije coraz wolniej... podniosła ciężkie, nabrzmiałe od łez powieki i nie wie, czy to sen, czy mara?

Przed nią stoi biały duch z wieńcem gwiazd na czole i schyla się nad nią, szepcąc słowa pociechy. Nie! śmierć nie jest tak straszną, jak ją wystawiają, powabna i uśmiechnięta stanęła przed tą, która ją wzywała.

Nie było jej danem uścisnąć syna przed śmiercią. List pisany do niej spóźnił się i on leżał w tej chwili na samotnem polu z rozstrzaskaną piersią... Duch zmarłej widział to jasno i wiedział, że za chwilę połączy się ze swem dzieckiem na wieki.

Po bladem promieniu księżyca, wsparta na ramieniu wielkiej pocieszycielki, dusza ta odchodziła do swej niebiańskiej ojczyzny, słysząc w powietrzu szum skrzydeł aniołów i słodki głos mówiący:

— Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni.

Błogosławieni czystego serca, błogosławieni ubodzy, albowiem oni Boga oglądać będą.

A tu na ziemi leżało cicho martwe ciało biednej, nieznanej męczenniczki. Strząsając mu liście na całun, drzewa szeptały poważne requiem, a rosa płakała łzami nad samotnemi szczątkami, oświeconemi blaskami księżyca. Gdzieś daleko w gęstwinie słowik nucił tak pięknie, że zdziwione drzewa kornie chyliły głowy, a kwiaty ze snu się budziły. Śpiew był coraz smutniejszy i rzewniejszy: słowiczek łkał i płakał na przemiany, może myślał, że przebije głos jego chmury i opowie najwymowniejszemi słowy cierpienia i smutki umarłej.

Ze świata katolickiego.

Ks. biskup Wojtaszak o światowej potędze Kościoła i roli prasy.

Biskup słowacki, ks. Jan Wojtaszak, ogłosił odezwę, w której powiada: „Łamiemy sobie często głowę i nie możemy zrozumieć, dlaczego Kościół katolicki, to państwo Boże na ziemi, które ma największą liczbę obywateli, liczbę tak dużą, że nie można z nią porównać ilości poddanych żadnego z państw ziemskich, dlaczego to właśnie królestwo musi upominać się o swe prawa nawet w najmniejszych państwach. Weźmy przykład z najbliższego otoczenia, z naszej własnej republiki. Ma ona zaledwie 13 miljonów mieszkańców, a liczący 350 miljonów wyznawców Kościół katolicki musi prosić o należne Mu prawa. Są nawet ludzie, którzy w tej trzynastomiljonowej republice ośmielają się utrzymywać, że katolicy w tem państwie tyle tylko praw mogą mieć, ile sobie wywalczą. Gdzie jest klucz do tej tajemnicy? W prasie. Gdyby katolicy mieli w swem ręku prasę, tak, jak nią rozporządzają wrogowie katolicyzmu, wówczas okazałoby się wkrótce, jaką potęgą światową jest Kościół katolicki."

Nowy kościół na wychództwie.

Niema prawie tygodnia, ażeby nie powstał w Ameryce jakiś kościół polski i nie była otwierana jakaś polska parafja. Oto znowu w okolicy Clewe-land, w miasteczku Lakewood, pobudowano kościół pod wezwaniem św. Jakóba i szkołę parafjalną. Poświęcenia dokonał wikarjusz generalny, ks. prałat Orzechowski, ten, który w swoim czasie przywiózł zwłoki ks. arcybiskupa Cieplaka z Ameryki do Polski.

Stan liczebny synów św. Franciszka w chwili obecnej.

Według najnowszych danych, zaczerpniętych z „Acta O. M.", zakon św. Franciszka liczy w chwili obecnej 18.739 członków w 1863 klasztorach. W tej liczbie jest 9414 kapłanów, 2685 kleryków, 741 nowicjuszów i 5899 braci. W sześciu niemieckich prowincjach zakonu w 127 klasztorach jest 985 księży, 284 kleryków, 66 nowicjuszów i 1054 braci. Seminarja zakonne wychowują 6186 uczniów.